

ELIZA ORZESZKOWA

OGNIWA

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
POZNAN — WILNO — ZAKOPANE



□ RZ.

□ EN.

75

SKŁADY GŁÓWNE:

THE POLISH BOOK IMPORTING CO. INC. NEW YORK
«KSIĘGARNIA POLSKA NA ŚLĄSKU, SP. AKC.» KATOWICE

— KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

1925

Zaledwie śnieg, okrywający dachy i ulice, szarzyć zaczął we wczesnym zmroku zimowym, okna dużego i ozdobnego domu zajaśniały rześmym światłem. Na ich złotem tle zarysowały się bogate festony firanek, wysmukłe postumenty lamp, grupy roślin i niestałe cienie postaci ludzkich.

Gdy na ulicy ustawał turkot kół, dolatywały z okien tych przez podwójne szyby słabe dźwięki muzyki fortepianowej. Łatwo było zgadnąć, że ludzie się tam bawią; że, powstawszy od stołu obiadowego, muzyką i rozmowami uprzyjemniają sobie chwile, ulatujące tak szybko....

Przed bramą stało kilka powozów z pięknymi zaprzęgami i stangretami w liberyach, którzy, zwiesiwszy głowy, drzemali lub uderzali się zziębłymi rękami po plecach i bokach. Ale z bramy wybiegł lokaj we fraku i wydał stangretom rozkaz odjechania do domów. Koła zaskrzypiały na śniegu; karety, porwane przez spragnione już ruchu konie, sznurem potoczyły się w głąb ulicy, nad którą teraz właśnie, pomiędzy śniegiem szarzejącym a niebem jeszcze błękitnawem, zapalać się poczęły dwa rzędy latarni.

Potem ulica przycichła; czasem tylko jedno-konne sanki przelatywały ze słabym dzwonieniem;

na białe chodniki padały z okien magazynów nieruchome płachty światła, w których pojedynczo lub rojnie przesuwwały się profile przechodniów.

Wówczas z bramy oświetlonego domu wyszedł mężczyzna, którego broda siwa wydawała się płatkami śniegu, położonym mu na piersi. Paltot futrzany z kosztownym kołnierzem szczelnie okrywał postać dość wysoką, z plecami trochę przygarbionymi; brzeg czapki futrzanej dotykał złotej oprawy okularów. Ubranie, ruchy, sam sposób, w jaki naciągał rękawiczki, znamionowały człowieka, należącego do wyższych warstw społecznych. Miał brodę siwą, plecy przygarbione i okulary na oczach, ale z temi oznakami starości nie zgadzał się krok przyspieszony, jakim szedł po białym chodniku. W tym kroku, jako też w paru giestach, które uczynił, malowało się zniecierpliwienie, coś naksztaltł chęci zostawienia za sobą jak najdalej domu, który opuścił.

Bo też, ilekroć salony jego córki napelniały się gwarem rozmów błyskotliwych, lekkich, pustych, w apartamencie zięcia rozkładano stoliki do kart, uczuwał on zawsze niesmak, smutek, nudę i, o ile mógł, opuszczał dom ich, będący także jego domem.

Czy, postarzawszy, stracił serce do świata, czy też świat odwrócił się od niego? W obu zarazem przypuszczeniach było wiele prawdy. Dla niego, dziadka wnuków dorosłych, nawet ojcowie i matki rodzin byli młodzieżą.

To bardzo dobrze: można przecież kochać młodzież i być przez nią kochanym; tylko, że on niedobrze już rozumie życie tych pokoleń młodych. Miał niegdyś ideały ukochane, które były mu miarą

sądu o ludziach i rzeczach. Do tej miary przyłożeni: córka, zięć, wnuki, objawiają wzrost nadzwyczaj mały. Nie chce być niesprawiedliwym i odzywa się w nim przywiązanie ojcowskie. Ani córka i zięć, ani wnuki i wnukowie nie są znowu — plamami atramentu. Mają swoje zalety, wdzięki, zdolności, tylko, że on rzadko może zgodzić się z nimi w czemkolwiek. Inne poglądy i upodobania, inne wspomnienia. Pousypialiby ze znudzenia, gdyby zaczął im prawić o tem, co dniem i nocą napęłnia jego pamięć. Mieszka przy córce i zięciu w zbytku i blasku, a dnie spycha z życia, jak z pleców wory jałowego żwiru, i wlecze się ku końcowi, tak prawie powoli, jak teraz idzie chodnikiem ulicy; bo, wyszedłszy z bramy domu pośpiesznym krokiem, teraz zaledwie porusza stopami.

Kiedy przebywa miejsca, na które pada z okien magazynów światło rozpłomienione, u szyi jego połyskuje kołnierz bobrowy, u oczu złota oprawa okularów, w ręku rzeźbiona gałka od laski. Lecz kiedy wchodzi na przestrzenie, pograżone w półzmroku, nie ma już na sobie połysków żadnych i rozmija się z przechodniami wyprostowanymi, przygarbiony sam, jak cień, z płatkami śniegu, położonym na piersi, i drugim, zwieszającym się z pod czapki, nad karkiem. Lecz miejsca oświetlone stają się coraz rzadszemi, a zanurzone w półzmroku, coraz obszerniejszemi. Ruch uliczny słabnie, turkotu kół nie słyhać wcale, i dzwonki u sanek odzywają się tylko kiedy-niekiedy. Nawet latarnie zdają się płonąć słabiej za szklami mętniejszemi; chodniki też węższe, pustsze, u ścian niższych, za których

oknami są wprowadzie światła, ale nieliczne, a niema wcale lamp wysmukłych, waz wspaniałych, ani dźwięków muzycznych.

Jest to dzielnica miasta znacznie uboższa od tej, w której znajduje się wspaniałe jego dzieci i jego własne mieszkanie. Nie nędza tu jeszcze mieszka, lecz ubóstwo bardzo jej blizkie, i jeżeli dostatek, to bardzo skromny. Skromne też sklepiki zastąpiły magazyny z wystawami świetnemi, szyldy jaskrawe migocą w słabem świetle u bram starych i okien niewielkich; niektóre z nich, kołysząc się z powiewem wiatru, skrzypią nad głowami przechodniów.

Kołysze się niekiedy i poskrzypuje deska, z tłem ciemnem i wymalowaną na niem tarczą zegara, wielką, białą podobną do twarzy starej i zapłakanej. Spłowiałe cyfry i wskaźniki wyglądają, jak zmarszczki, przez czas wyrte, a kurzawy letnie i deszcze jesienne złożyły na nich mnóstwo czarnych kropek, jak zaschłych łez.

Wzrok starego pana w futrze bobrowem wypadkiem spotkał się z malowaną twarzą zegara, która w powiewie wiatru zlekka zakolysała się i zaskrzypiała. Było to coś naksztalt zaproszenia, wymówionego tonem żalonym. Zegar na szyldzie! Zegarmistrz! to bardzo dobrze! Właśnie zegarek jego potrzebuje naprawy. Od pewnego czasu opóźnia się wciąż i opóźnia po parę minut codzień. Sam go już ciągle nastawia, naprawia, posuwa, cofa: nic nie pomaga. A przecież zna się na zegarach wyśmienicie i wszystkie, jakie są w domu, zostają pod jego dozorem wyłącznym i bezpośrednim. Ale

dla przyjaciela starego trzeba zawezwać porady lekarza. Wstąpił na parę wschodków, otworzył drzwi sklepiku, lecz gdy zamknął je za sobą, nie zaraz oddalił się od progu; przez minut parę stał, słuchając i patrząc.

Izdebka była mała, niska, od sufitu do podłogi napełniona szmerem dziwnym, zgiełkliwym, monotonnym i zarazem niespokojnym, szybkim. Nie był to hałas, tylko szmer, nie wzdymający się, ani opadający nigdy, lecz ciągle, jednostajnie, bez sekundy przerwy, napełniający izbę od dołu do góry. Nic tu więcej słyhać nie było, ani ruchu ulicznego, ani skrzypienia sztyldów, ani żadnego dźwięku ze świata żyjących. Nic, tylko od sufitu do podłogi i od ściany do ściany rozmowa, czy narada zegarów, wiszących na ścianach, i mówiących jeden za drugim wielu głosami suchymi i stukotliwymi: »tak-tak... tak-to-tak... tak-to-tak«....

A w tym szmerze rozmowy, czy narady, zda się, wiekuiściej, u okna jedyne, przy stoliku, na którym paliła się lampa z długim kominkiem, nad mnóstwem błyszczących kółek, sprężynek, haczyków, siedział człowiek w ubraniu długim i wyszarzanem, z dwoma płatami śnieżnemi, jednym na piersiach, drugim nad karkiem zgiętym; była to broda siwa i siwe włosy, wydobywające się z pod jarmułki aksamitnej. W wielkich okularach, z narzędziem delikatnem w rękę, siedział i pracował około błyszczących drobiazgów. Czoło miał zmarszczone, wargi odęte i uwagę głęboką w oczach, połyskujących iskrą srebrną z pod brwi siwych i powiek zaczerwienionych. Może ucho jego tak

przywykło do stukotliwej rozmowy zegarców i tak się z nią zżyło, że dźwięki inne przebijały się do niego z trudnością; nie słyszał wejścia człowieka obcego.

W minutę później ze szmeru wytrysnął głos donośny, dźwięczny, dziwnie żywy i świeży, który na całą izbę zawołał: »ku-ku!«, i potem już dalej miarowo powtarzał: »ku—ku! ku—ku! ku—ku!« aż za ósmym razem umilkł, a izdebkę nappełniła znowu gwarliwa i, pomimo miarowości doskonałej, śpieszna, niespokojna narada zegarów.

Stary Zyd z dwoma płatami śniegu starości, podniósł głowę, wydęte od skupienia, wargi jego rozciągnęły się w błogim uśmiechu, spojrzeniem pełnem zadowolenia powiódł dokoła i spotkał się niem z twarzą przybysza, na której także rozlewał się uśmiech. Powstał nieco ze stołka, jarmułki palcami dotknął i zaczął:

— Czego wielmożny pan....

Spostrzegłszy wszakże futro kosztowne, złotą oprawę okularów, postawę przygarbioną, lecz jeszcze wyniosłą, poprawił się:

— Czego jasny pan żąda?

Ale jasny pan, zamiast odpowiedzieć, szedł wprost ku ścianie z szemrzącemi zegarami i stanął przed tym, który wydał był z siebie głos kukulki.

— Skąd masz ten zegar? Staroświecki!... cyferblat osobliwy!... Skąd go masz? Czyj on jest?

Zyda jakby sprężyna podrzuciła z nad stołka, zerwał się i dwoma śpiesznymi krokami stanął obok starego pana przed szafką hebanową, wysoką; przez

otwór jej wyglądało na świat oblicze zegara z kukłą.

— Czyj ten zegar? A czyj ma być? On mój! Jak syn swego ojca, jak przyjaciel jest swego przyjaciela, tak on mój! A jasny pan myślał, że może ten zegar jest u mnie w reperacyi? że zaraz kto przyjdzie i jego stąd zabierze? Aj, aj! Ja-by kijem tego, ktoby mnie ten zegar zabrać chciał! żeby mnie kto jego zabierał, to ja-by takiego hałasu narobił, że ludzie-by zbiegli się i musieli przepędzić tego, kto-by mnie ten zegar zabierał... bo on jest mój!...

Mówił z żywością ogromną, z zapalem i razem ze śmiechem filuternym, lecz nagle umilkł i uważnie wpatrzył się w gościa, który przecież, na niego uwagi nie zwracając, z głową podniesioną, z ustami trochę otwartymi, przypatrywał się zegarowi, aż zawołał:

— Daj-no stółek i lampę, bo nie mogę dojrzeć pejzażu na cyferblacie. Widzę, że jest, ale nie mogę dojrzeć, jaki....

Przy ostatnich wyrazach wstąpił na stółek, podsunęty mu przez Żyda, a uczynił to tak sprężysto, jak gdyby nigdy dotąd nie powlóczył nogami.

— Dawaj lampę! — zawołał.

— Zaraz, zaraz, jasny panie!

I, słowa te mówiąc, stary Żyd, z lampą w ręku, znalazł się obok gościa na drugim przysuniętym stołku.

— Genewa! — zawołał stary pan — tak, tak! fabryka szwajcarska; nie wiesz, jaka?

— Dlaczego nie mam wiedzieć? czy ja mogę czego o nim nie wiedzieć?

Z tryumfem wymienił nazwę fabryki, już oddawna nie istniejącej.

— To była taka fabryka, jakiej już na świecie niema!

— To prawda, ach, jaka to prawda, że takiej fabryki już na świecie niema! A jak on się nakręca?

Stary Zyd, jakby z rękawa klucz wytrząsł, już go trzymał w palcach. W rzeczy samej wyjął go ze skrytki, znajdującej się w szafce.

— Ot, jak on się nakręca! widzi jasny pan! A jak to dobrze, że ja go dziś jeszcze nie nakręcał, to mogę jasnemu panu pokazać. Aj, fajni! taki stary klucz, a jak po oliwie chodzi!

— Tak! Aha! A ja myślałem, że on się nakręca z tamtej strony, bo takie zegarki....

— Jasny pan ma omyłkę... takie zegarki nie nakręcają się nigdy z tamtej strony... to są wcale inne, które się nakręcają z tamtej strony.... A teraz ja pokażę jasnemu panu te gzymsiki.... Widzi jasny pan, jaka to delikatna robota jest i jakie to rzeźbienie i złocenie fajni....

— Empire! — szepnął stary pan.

— Ampir! cha, cha, cha! Na moje sumienie, jasny pan zna się na zegarkach, jak, za pozwoleniem, zegarmistrz! Czyste Ampir! Już blisko sto lat ma....

— Poczekaj! poczekaj! a toż co za sprężyna?

— Nu, to jest taka sprężyna, że jak ja pociśnę, to zaraz z zegara wyleci ptak, skrzydłami załopoce i krzyczeć zacznie.

— Aha! prawda! widziałem raz taką maszynę....

— Kiedy jasny pan raz widział, to ja jasnie panu drugi raz pokażę....

Stali na stołkach obok siebie, postawą różni, bo gospodarz był szczuplejszym i niższym od gościa. Światło lampy, którą Zyd trzymał w wysoko podniesionej ręce, padało na dwie twarze z rysami niepodobnymi, ale okryte jednostajnie wielką ilością zmarszczek. Obaj mieli okulary na oczach, wlepionych w zegar z błogością jednostajną. Wtem nad ich głowami siwemi i twarzami pomarszczonemi, wysadzony z wnętrza zegara przez sprężynę naciśniętą, wyleciał ptak metalowy, załopotał skrzydłami i dźwięcznie, świeżo, na całą izbę wołać zaczął: »ku—ku«, »ku—ku«. Zyd pierwszy zstąpił ze stołka na ziemię i pomógł gościowi to samo uczynić, poczem, zapominając o postawieniu lampy na stole, znowu na niego patrzył.

— Za pozwoleniem jasnego pana — szepnął nieśmiało — może ja mam omyłkę, ale mnie zdaje się, że moje stare oczy jasnie pana poznały....

— Poczekaj, poczekaj — z żywością przemówił stary pan — mnie także coś się przypomina. Czy ja cię znałem kiedy?

— Jasny pan graf Ksawery ze Strumienicy....

— No, a ty? bo nie mogę przypomnieć sobie....

— Ja Berek, syn Szymszela, co w Strumienicy pacht trzymał.

— Berek! czy być może? Ależ pamiętam wybornie! Siostra moja brała cię za model do jakiegoś obrazka.

Zyd głową skinął potakująco; lampę postawił na stole, bo ręce drżeć mu zaczęły. Wyciągnął z kąta stare krzesło z materacem wkłętym i poręczą nadłamaną, zapraszając gościa, aby usiadł. Cmokał wargami, śmiał się; czerwone powieki mrugały mu pod siwymi brwiami bardzo prędko, jak od olśnienia. Usiadł наконец, wpatrywał się w gościa i wydawał dźwięki niewyraźne, w których przecież słyhać było radość i zdziwienie. Ale i stary pan przypatrywał mu się z podziwem.

— Czy być może? Ty Berek!... ty... ten Berek z kręcącymi się włosami złotymi, z twarzą rumianą, jak u dziewczyny, z oczyma, jak turkusy? Siostra moja wzięła cię za model do jakiejś figury w obrazie, potem często przychodziłeś do pałacu.... Więc to ty jesteś?

— Ja... ja sam, jasny panie! A jasny pan jest tym paniczem, co na schody strumienieckiego pałacu nigdy inaczej nie wchodził, jak po cztery przeskakując. Kiedy mnie jasna panna hrabianka malowała, a jasny graf Ksawery do tego pokoju, w którym my byli, wchodził, to jakby słońce wschodziło. Aj, czy ja nie pamiętam, jak jasny pan Ksawery konno jeździł, i jak z panienkami tańczył!... Zeby nie wiem wielu paniczów na koniach jechało, to on wszystkich wyprzedził, i żeby nie wiem wiele panienek było, to wszystkie tylko z nim chciały tańczyć. Ja to wszystko widział, choć przy płocie, albo za oknem pałacu stojąc....

— Ależ właśnie, właśnie — podchwycił hrabia — ja cię też najlepiej pamiętam stojącego przy sztachetach, na dziedzińcu lub w ogrodzie, i przy-

patrującego się wszystkiemu oczyma, które posiadały dziwnie naiwny wyraz ciekawości i uciechy.... Nieraz mówiliśmy z siostrą o tobie, że wyglądasz, jakbyś cieszył się całym światem i nigdy dosyć nacieszyć się nie mógł....

Żyd śmiał się z cicha:

— A jasny pan czy nie cieszył się wtedy całym światem?

Hrabia zamyślił się i westchnął.

— Naturalnie — odpowiedział — młodość!... Razem byliśmy młodzi, mój Berku!

Nie spuszczaając oczu z jaśnie pana, Żyd znowu zapytał z cicha:

— A teraz?

— Teraz! cóż? Jesteśmy razem starzy....

Żyd oparł dłonie na kolanach, wzrok wlepił w ziemię, zgarbił się, zmalął.

— Cy! cy! — cmokał — czemu my nie mieli zestarzeć się razem, kiedy my razem młodzi byli? Każdy człowiek na świecie, czy Żyd, czy chrześcijanin, czy wielki, czy małeńki, ma młodość i ma starość... i dla każdego młodość to radość, a starość to taki smutek, co jego już aż do grobu nie można z siebie zdjąć.... Każdy to ma....

Umilkł. Hrabia milczał także i tylko zegary na ścianach gwarzyły szmerem suchym, niespokojnym: »tak-tak«, »tak-to-tak«, »tak-to-tak«, »tak-to-tak«.

Jeden z nich głębokim basem zaczął uderzać godzinę: raz, dwa, trzy! Lecz zaledwie trzy razy uderzył, odezwał się drugi i bardzo cienko wydzwonił: raz, dwa! Przy szóstym uderzeniu dzwo-

niły już trzy głosy, a przy siódmym było ich ze sześć. Siedm, ośm, dziewięć, wydzwoniły chórem, który potem stopił się we trzy i we dwa głosy, kończąc oznajmiać godzinę dziewiątą. — Hrabia z uśmiechem oglądał się dokoła.

— Koncert! — szepnął, a potem z zamyśleniem dodał:

— Mój Berku, ile to już godzin czas wybił dla ciebie i dla mnie!

— Nu — odpowiedział żyd — dlaczego on nie miał ich wybijać? My byli daleko od siebie i nie widzieli się nigdy, i zapomnieli o sobie, a czas na zegarkach bił godziny, i co którą wybił, to i dla jasnego pana, i dla mnie, bo on dla wszystkich godziny bije....

Chwilę milczał, potem, podnosząc wzrok na gościa, nieśmiało zaczął:

— Czy jasny graf wie, że ja rodziców jasnego pana pamiętam, jakbym ich wczoraj widział? Pan graf ojciec był małego wzrostu, ale taki sobie dumny na twarzy, a pani grafini miała takie ręce, co ja zawsze myślał, że to są białe kwiaty... te, co w ogrodzie rosły, i ogrodnik mówił, że to są lile... może ją źle pamiętam... lile... lile... takie białe, piękne kwiaty, co bardzo pachną.... Pani grafini miała ręce podobne do tych lilów. Niech jasny pan nie rozgniewa się, że ja zapytam, czy jasny tato i jasna mama jeszcze żyją?

Tym razem w uśmiechu hrabiego była gorycz, gdy odpowiedział:

— Gdzież tam, mój Berku! Czyż podobna,

aby ja miał jeszcze rodziców przy życiu? Te białe lilie, o których mówisz, oddawna już w ziemi.

Głos mu drgnął, ale hamując wzruszenie, życzliwie zapytał:

— A twoi rodzice? Ojca prawie nie pamiętam, ale matkę przypominam sobie bardzo dobrze. Szczupła, nieduża kobiecina, spracowana, z twarzą zwiędłą, ale z pięknymi jeszcze oczyma, czarnymi i ognistymi, jak płomienie....

Żyd milczał chwilę, poczem zwracając ku podłodze palec suchy i ciemny, rzekł zeicha:

— Te płomienie, co ich jasny pan pamięta, dawno już — w ziemi!

Zegary szemrały »tak-tak«, »tak-to-tak«, »tak-to-tak«; dwaj ludzie milczeli z duszami zatopionymi w szmerze czasu.

Żyd pierwszy obudził się z zamyślenia i przemówił:

— A czemu ja winien tę wielką łaskę Pana Boga, że do mnie, takiego starego znajomego przyprowadził?

Hrabia wyjął z kieszeni staroświecki zegarek i położył go na stole. Żyd z przyjemnością wziął go w palce i, oglądając z uśmiechem, zapytał:

— A jaka na niego skarga? Czem on zgrzeszył? On późni się? Jasny pan próbował jego naprawiać i nic nie pomogło! Cy, cy! ja już widzę, że z nim niedobrze, on jest bardzo chory. Jego trzeba rozebrać i leczyć....

Hrabiemu oczy błysnęły z za okularów. Zaniepokoił się i zarazem ucieszył.

— Czy możesz to zrobić zaraz?

— Czemu nie? Ja będę bardzo kontent, jeżeli jasny pan trochę u mnie posiedzi i sam będzie widział, że ja temu choremu nic złego nie zrobię. Tylko ja sobie większą lampę zapalę, bo do takiej roboty, przy takiej małej lampie, moje oczy za słabe....

Hrabia, w coraz lepszym humorze, zawołał:

— Dobrze ci, że możesz sobie większą lampę zapalić, a ja nie mam z sobą tych okularów, których używam do naprawiania zegarków....

— Aj, aj! co to za bieda? U mnie jest kilka par różnych okularów; niech jasny pan dobierze sobie, która będzie najlepsza. Czy jasnego pana oczy tak samo proszą, żeby je ze służby uwolnić?

— Oj tak, mój Berku, bardzo nawet proszą... i dyabelnie mi to dokucza. Bez okularów ani rusz, a i przez okulary czasem trudno....

Żyd wyjmuje z szuflady kilka par okularów i mówi:

— To r y c h t y g, jak mnie. Nasze oczy razem postarzały.

Po kilku minutach obydwaj siedzieli pochyleni nad stolikiem, zatopieni w pracy rozbierania zegarka i oglądania różnych jego części. Rogowa oprawa okularów przerzynała liniami ciemnymi ich pomarszczone czoła, policzki, skronie i ginęła nad uszami w siwych włosach. Za wielkimi szklami oczy nabierały coraz większego skupienia, a światło lampy zapalało w nich srebrne połyski. Pracując, rozmawiali, ale już tylko o przedmiocie zajęcia swojego, bo w tej chwili wszystko, co praca nie było, uleciało bez śladu z ich pamięci. Czasem

milkli i, przypatrując się, próbując, majstrując, od wielkiego nateżenia uwagi, zaczynali oddychać przeciągle i głośno. Czasem zamieniali między sobą urywane zdania:

— Widzisz, widzisz, ot gdzie lichol!

— Jeżeli tu, to my lichol stąd wypędzim! ale mnie zdaje się, że ono gdzieindziej.

Ale czasem zaczynali się sprzeczać.

— Co ty robisz? to nie tak! — niespokojnie mówił hrabia.

Zyd odpowiadał uspokajająco.

— Niech jasny pan nie lęka się... jasny pan zaraz zobaczy, co z tego będzie....

— Ależ nic z tego nie będzie!... tu pociśnij... stamtąd wyjm....

Wtedy Zyd głos podnosił i prawie krzyczał:

— Jasny pan ma omyłkę... tu jest takie delikatne sprężynki, że jasny pan ich nie widzi.

A hrabia także podniesionym głosem wołał:

— A to mi się podoba! Ja miałbym czegokolwiek nie dostrzegać w tym zegarku....

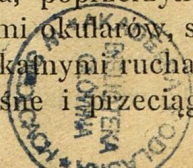
Ale zobaczywszy, że Zyd po swojemu, lecz dobrze robi, mruczał zcicha:

— A prawda, prawda! miałeś rację!...

Tamten także, już uspokojony, pomrukiwał:

— Kiedy idzie o moją robotę, to ja zawsze mam rację....

Znowu milkli, przyglądali się, majstrowali, przybliżali ku sobie czoła, poprzeryzane zmarszczkami i ciemnymi liniami okularów, splatali nad stołem ręce zwiędłe, z delikatnymi ruchami palców suchych; oddechy ich, głośne i przeciągłe, łączyły



się ze szmerem zegarów, płynącym dokoła falą nieustanną.

Wtem z tej fali szmeru suchego i śpiesznego wydobył się głos basowy, bardzo czysty i wydzwaniać zaczął: raz, dwa, trzy! Za czwartem uderzeniem przybiegł mu z wtórem, jak młodzieniaszek mężowi dojrzałemu, cieniutki głosik wiolinowy i wykrzyczał: raz, dwa! A za trzeciem uderzeniem swoim dostał wtór głosów innych, którym wnet przybiegły z pomocą jeszcze inne, aż chór cały, zgodnie uderzywszy kilka razy, stopił się znowu do trzech i dwóch głosów, kończących wygłaszać godzinę dziesiątą.

Dwaj ludzie podnieśli z nad stołu głowy i opuścili na kolana ręce. Żyd mówił z uśmiechem:

— Nu, jasny pan dobrze zna się na zegarkach... Już ja widzę, że jasny pan ma do zegarków takie upodobanie, jak dawniej miał do bystrych koni i pięknych panienek.

Hrabia wesoło też odpowiedział:

— To prawda, mój Berku, to prawda, że nabrałem tego zamiłowania nie wiedzieć jak i dlaczego? Ot, różne dziwactwa czepiają się starości...

Żyd skrzywił się i z niezadowoleniem zaczął mruzczyć:

— Dziwactwo! jakie to dziwactwo? Dlaczego to ma być dziwactwo? Zegarek to jest piękna maszyna i temu rozumowi ludzkiemu, co ją wymyślił, honor robi. Czy ona kogo zabija, jak, nie przymierzając, fuzya albo armata? Czy ona kogo truje, tak, jak te maszyny, co w wielkich fabrykach różne paskudztwa ludziom w gębę sypią? Zegarek

to dla człowieka przyjaciel; on jest z nim, kiedy wesoło i kiedy smutno; on jemu pokazuje, o której porze co robić; on gada, kiedy nikt do człowieka nie zagada; on jego uczy, że czas płynie, i że on, na tym czasie, jak na wielkiej rzece, też płynie do ogromnego morza....

Machnął ręką i dokończył:

— Wie jasny pan co? On dla człowieka czasem lepszy przyjaciel, niż drugi człowiek, bo on nigdy nie kasa! Chi, chi, chi!

Zaśmiał się zcicha, ale hrabia z zamyśleniem słuchał mowy jego i, potakując mu, odrzekł:

— Rozumną rzecz powiedziałeś: ta gadająca maszyna jest z człowiekiem, kiedy wesoło i kiedy smutno.... Czy wiesz, że ten mój zegarek był ze mną już wtedy, kiedy to, jak powiadasz, miałem zamiłowanie do bystrych koni i pięknych panienek...

— Aj, aj! — cmoknął żyd — taki młody panicz miał już taki drogi zegarek!

Hrabia uśmiechnął się.

— Nigdy nie brakowało mi drogich rzeczy, ale zabrakło nieraz osób drogich.... Nigdy nie zapomnę przedśmiertnych godzin mojej matki.... Doktor powiedział, że śmierć zbliżać się będzie wtedy, gdy puls słabnąć zacznie, i poszedł spocząć, bo był strasznie znużony i niewyspany. Sam jeden zostałem przy jej łóżku i często, z zegarkiem w jednej ręce, a z jej ręką w drugiej, badałem... czy już się zbliża?... Im więcej zbliżała się, tem rzadszem było uderzenie pulsu, i zdawało mi się, że tem szybciej posuwała się wskazówka zegarka. Posuwała się, a w tej lilii, którą pamiętasz, puls ustawał, ustawał....

aż ustał. To, co zbliżało się, przyszło. Na zegarku było pięć minut i trzy sekundy po północy....

Żyd z wilgotnemi oczyma, głową trząsł potakująco, i zegary na ścianach szemrały chórem: »tak-tak«, »tak-to-tak«, »tak-to-tak«, »tak-to-tak«.

Otrząsając się ze wzruszenia, hrabia zażartował:

— A nie uwierzysz, mój Berku, jaka go żywość czasem napadała! Kiedy raz kochałem się w pewnej pani, a mogłem z nią bywać zawsze bardzo krótko, ile razy ukradkiem na niego spojrziałem, złość mię porywała taka, że, gdyby tylko wypadało, byłbym go cisnął o ziemię. W myśli łajałem go: »Nie leć-że tak, głupcze! Postój sobie, wypocznij i niech razem z tobą czas się zatrzyma!« Ale on nie słuchał: leciał — i szczęście moje... odleciało!...

Żyd z cicha zapytał:

— A czy jasny pan zawsze spał dobrze w nocy?...

Hrabia uczynił ręką gest ironiczny.

— A kiedy jasny pan nie spał, to czy myśli jasnego pana były zawsze wesole? Nu, ja sam wiem, że one czasem musiały bywać niewesole? A kiedy jasny pan leżał w ciemności, z niewesołemi myślami w głowie, to może on wtedy bardzo pomału szedł?

— Jednak szedł — odpowiedział hrabia — i noce czarne przeciągały...

— A kiedy one przeciągały, wszyscy spałi, tylko on jeden do jaśnie pana gadał... a on co ga-

dał? On jasnego pana pocieszał, że i ta czarność przejdzie....

— Jak wszystko przechodzi — dokończył hrabia i na parę minut zamyślił się głęboko. Czuł się zdziwionym. Po co on tak długo tu siedzi i tak poufale rozmawia z tym łapserdakiem?

Znał go niegdyś! Cóż stąd? Wspólnych wspomnień przecież mieć nie mogą, ani wogóle wspólności żadnej. Nie był dumnym i miał wrodzoną życzliwość dla ludzi; niemniej przecież wiedział, jaka przepaść różnic rozmaitych dzieli go od Berka, niegdyś syna pachciarza, a obecnie zegarmistrza, z podrzędnej ulicy miasta. Poprostu, różnili się wszystkim i nie było pomiędzy nimi podobieństwa żadnego. Wszedł tu, aby oddać zegarek do naprawy, i zasiadł na długie godziny. Co więcej, wcale nie chciało się mu odchodzić i prawie niespodziewanie dla samego siebie, zapytał:

— Jakże ci się powodziło, mój Berku? Jak powodzi się teraz? Czy masz rodzinę i dostateczne środki do życia?

Zyd podziękował za te pytania życzliwe i dość obszernie odpowiadać zaczął.

Bogatym nie był, kapitałów nie zebrał, ale środki do życia posiadał jakie takie i nędzy nie cierpiał. Pracował jeszcze i zarabiał tyle, ile potrzeba na życie — a ile mu tam potrzeba teraz, kiedy jest już sam i ma przy sobie jedną tylko wnuczkę, która go dogląda i także szcieniem trochę zarabia! Rodzina liczna, kilkoro dzieci, kilkanaścioro wnuków, ale to wszystko....

Machnął ręką.

— Wie jasny pan co? Jest taka zagadka i ja bardzo ciekawy, czy jasny pan zna ją, czy nie zna.... Jakim sposobem to może być, żeby człowiek miał rodzinę i razem nie miał rodziny? — Mówiąc to, zatopił w twarzy hrabiego wzrok badawczy i trochę filuterny.

— Nu, czy pan tę zagadkę zna?

Po ustach hrabiego przeleciał uśmiech ironiczny.

— Znam tę zagadkę, Berku, znam bardzo dobrze....

Zyd obiema dłońmi uderzył o kolana i z fraszkiem zawołał:

— Oj, po co jasny pan ją zna? Jej lepiej nie znać! Nu, ale kiedy my obydwaj ją znamy, to już ja jasnie panu o mojej rodzinie opowiadać nie będę. Oni porządne ludzie i poczciwi ludzie, i niektóre to nawet edukowane i bogate, ale oni nie moje.... oni swoje i świata, nie moje....

Miał kilka córek, ale jedna tylko nie przedstawiała nigdy należeć do niego. Kochał ją i pielęgnował, była światłem i rozkoszą jego oczu; ale dawno już jej nie widział i nigdy już nie zobaczy. Spotkały ją w handlu niepowodzenia i nieszczęścia. Z mężem i dziećmi wyjechała do Ameryki, aby szukać lepszego losu.... Miewa niekiedy listy od niej, ale co to listy? On jej nigdy już nie zobaczy i jest to taki wielki smutek, który można znieść spokojnie i cierpliwie tylko dlatego, że on z Boskiej ręki pochodzi. Co robić?

Żrenice jego, o których hrabia mówił, że były niegdyś błękitne, jak turkusy, teraz szare i zam-

glone, pod czerwoną powieką zaświeciły łzami. — Lecz wkrótce otrząsnął się ze wzruszenia i, wywdzięczając się za życzliwe pytania, przemówił nieśmiało:

— Niech jasny pan nie rozgniewa się, że ja zapytam o siostrę jaśnie pana, o tę jasną panienkę hrabiankę, co niegdyś mnie, biednego Zydka, na obrazie malowała. Aj, jaka to była śliczna panienska! Ja ją pamiętam. Czemu ja nie mam jej pamiętać, kiedy ja takiej ślicznej panienki nigdy już potem nie widział? To był anioł. Ona była taka piękna i taka dobra, i taka sobie cicha i delikatna, jak anioł! Ja pamiętam, że jaśnie pan żył z nią w wielkiej przyjaźni. Czemu ja nie mam tego pamiętać, kiedy ja potem takiej przyjaźni już nigdy nie widział! Czy ona żyje? Gdzie ona żyje? Co robi? Jak się jej powodzi?

Po chwili milczenia, ze wzrokiem utkwionym w podłogę, hrabia odpowiedział:

— Miałem trzy siostry, ale z tą, o którą pytasz, kochaliśmy się najwięcej. Żyje, powodzi się jej dobrze; ale dawno jej nie widziałem i może nigdy już nie zobaczę. Wyszła za Anglika, mieszka w Anglii; nie przyjeżdża tu nigdy, a mnie, blizkiemu podróży największej, trudno już puszczać się, choćby w niewielką.... Ona dla mnie umarła, chociaż żyje.... Cóż robić!

Zyd słuchał uważnie i głową trząśł smutnie.

— Jasny pan ma taki smutek, jak i ja. I jasny pan prawdziwą rzecz powiedział: ona umarła, choć żyje. Ja tak samo o swojej Małce myślę. Ja myślę, że ludzie różnie umierają: jedne przez

chorobę, drugie przez oddalenie, trzecie przez to, że odmieniają się, czwarte.... Ale po co ja to jasnemu panu gadam, kiedy jasny pan sam wie....

Machnął ręką i zamilkł, a hrabia, ciągle wpatrując się w podłogę, krótko odpowiedział:

— Wiem.

Obaj umilkli, a dokoła zegary mówiły szmerem nieustannym: »tak-tak«, »tak-to-tak«, »tak-to-tak«, »tak-tak«, aż nagle wytrysnął ze szmeru głos donośny, na całą izbę wołający: »ku-ku!« ku-ku!«

Hrabia wstał i, zbliżywszy się do zegara, stanął przed nim. Futro miał rozpięte, bo mu się gorąco zrobiło w dusznej izbie i na oczach swoje już okulary w złotej oprawie.

Z głową podniesioną długo patrzył przez te okulary na zegar staroświecki, aż przemówił:

— Ile żądałbyś za ten zegar?

Zyd, siedzący przy stole, głowę podniósł i, uśmiechając się, odpowiedział:

— Co ja mam za niego żądać? ja za niego nic nie żądam.

— Jakto? przecież handlujesz zegarami!

— Jasny pan powiedział prawdę. Ja zegarami handluję, ale ten zegar do handlu nie należy.

Hrabia ze zdziwieniem obrócił się ku niemu.

— Dlaczego? To przedmiot, mający cenę znaczną. Sam nabyłbym go chętnie.

Zyd wstrząsał głową potakująco.

— Ja wiem, że to jest drogi zegarek i że ja bym za niego dostał dobrą cenę, ale ja jego nie sprzedam. Czy jasny pan słyszał kiedy, żeby przyjaciel sprzedawał przyjaciela?

Hrabia patrzył na mówiącego prawie z osłupieniem.

— Czy być może? — zawołał — nie jesteś przecie bogaczem i jesteś Żydem, a Żydzi tylko grosz cenią!

Żyd zcichą odpowiedział:

— Jasny pan ma omyłkę.

A hrabia trochę ze śmiechem mówił:

— Jakaż ja mam omyłkę? Co ty tak wysoko cenisz w tym zegarku, że sprzedać go nie chcesz? Masz przecie tyle innych! Przez cóż ten może być dla ciebie takim ważnym, czy drogim?

Był tak zaciekawiony, czy zdziwiony, że usiadł znowu przy stole, na krześle z materacem wkleśłym i poręczą nadłamaną.

Żyd zaś powoli mówić zaczął:

— Jeżeli jasny pan posłucha mojego gadania, to ja wszystko opowiem. Prędko już, będzie czterdzieści lat, jak ja ten zegar mam. Ja jego za tanie pieniądze kupił i dlatego kupił, żeby za większe sprzedać! Ale wtenczas mój Mosze, który teraz kupcem jest i wielkie interesy ze zbożem prowadzi, był takim małym chłopcem, co do chederu chodził, ja jeszcze więcej synów nie miał, bardzo lękał się, że Pan Bóg mnie więcej nie da, i bardzo jego kochał. Aj, jakie to było dziecko, ten mój Mosze! Zeby jasny pan jego znał, to sam dziwiłby się, że takie dziecko na świecie może być. A kiedy ja ten zegar kupił, to tego samego dnia mój Mosze powrócił z chederu taki słaby, taki smutny i taki mizerny, że mnie strach wziął, żeby on nie zachorował i żeby mnie Pan Bóg tego jedyne go syna

nie odebrał. Przyszedł mój Mosze z chederu, siadł w kącie, jeść nie chce, na ziemię tylko patrzy i mówi, że jego głowa bardzo boli, i że on w chederze bardzo zmęczył się, że melamed bardzo srogi i że on żyć już nie chce. Aj, aj! żeby takie dziecko żyć nie chciało! to jest dziwne, to jest straszne i to jest wielki grzech! Kiedy on to powiedział, ja za głowę schwycił się i jego matka za głowę schwyciła się, a jego siostry zaczęły płakać od tego, że Mosze żyć nie chce i że my siedzimy, trzymając się za głowy i kiwając się z wielkiego żalu. Wtenczas, raptem, ten zegar zakukał. A była wtedy godzina dziesiąta, to on długo kukał, aż dziesięć razy. Za pierwszym razem Mosze podniósł głowę i zdziwił się, za drugim, on już nie na ziemię patrzył, ale na niego, za trzecim razem, oczy u niego zaświeciły i on krzyknął: »Aj, aj! tate, co to jest? skąd ty to wziął!« I zaczął śmiać się do zegara tak, jak, nie przymierzając, człowiek, co jego długo w ciemności trzymają, śmieje się, kiedy zobaczy słońce. Ja bardzo był kontent, że on śmieje się, skoczył na stół, i tę sprężynkę, co jasny pan wie, nacisnął, a jak ja ją nacisnął, to z zegara wyskoczył ptak i zaczął skrzydłami łomotać i jeszcze mocniej kukać. Nu, jak on tego ptaka zobaczył, ten mój Mosze, to on już całkiem z kąta wyleciał, starszą siostrę obiema rękami porwał i zaczął z nią przed zegarem tańczyć, a jak on ze starszą siostrą tańczył, to i dwie młodsze, takie maleńkie, że ledwie od ziemi odrosły, schwyciły się za obie ręce i także zaczęły tańczyć. Oni nie tylko tańczyli, ale z wielkiej radości, że takiego pięknego ptaka zo-

baczyli, śmieli się, na całą izbę, a jak oni śmieli się, to i matka, co przy ogniu obiad gotowała, zaczęła śmiać się. Ja ze stolka nie zlaził i patrzył, jak oni wszyscy tańczyli i śmieli się. Ptak kukał, a ja, przy tym zegarze, na stolku stojąc, w myślach Panu Bogu dziękował, że Mosze już nie chory i żyć już chce, i że w moim domu taki wielki smutek przemienił się w taką wielką wesołość.

Musiała to być istotnie wesołość wielka, bo jeszcze teraz, po latach czterdziestu, odbłask jej padł na gęste zmarszczki jego twarzy, a echo ozwało się w śmiechu cichym i przeciągłym. Rozweselony, z oczyma błyszczącymi i rękoma rozłożonymi, mówił dalej:

— Nu, czy ja mógł wtenczas ten zegar sprzedać, kiedy mnie Pan Bóg przez niego swoją łaskę okazał? Ja jego troszkę bał się sprzedawać, żeby tego szczęścia od siebie nie odwrócić, a troszkę żałował dzieci, dla których ten ptak, co w nim śpiewa, był całą zabawą i taką radością, że jak on zaczynał kukać, to oni zaraz zaczynali przed nim tańczyć.... Kupców ja na niego miał, ale zawsze myślał sobie: niech to będzie potem! niech on sobie jeszcze trochę u nas pobędzie! Aż Pan Bóg na mnie ciężką chorobę przysłał....

Odetchnął głęboko, oczy wzniosł ku sufitowi i mówił dalej:

— Kiedy Pan Bóg na mnie tę chorobę przysłał, to ja może przez cały miesiąc nie spał. Czy jasny pan wie, co to jest, kiedy człowiek, mający we wnętrznościach wielkie bólesci, a w głowie czarne myśli, przez całą noc leży z otwartymi

oczyma i w ciemność patrzy? Ja w tej ciemności wiele rzeczy widział, co, żeby ich żaden dobry człowiek nigdy nie widział! Ja widział swoją śmierć i swoje dzieci, co beze mnie w wielkiej nędzy będą, i swoje grzechy, któremi Pana Boga obraził, i wielki strach, co mnie za nich na tamtym świecie czeka... A kiedy ja tak leżał i na takie rzeczy otwartemi oczami patrzył, to jak tylko w tym zegarze ten ptak zakuka, zaraz te obrazy, co w ciemności zawieszone, zmieniają się na inne. Czy jasny pan pomyśli się, co ja wtedy widział w ciemności, jak ten ptak kukał? Ja wtedy widział Strumienicę i samego siebie, jak przy płocie od dziedzińca stoję i patrzę sobie na ten las, co tam zaraz za dworem był... Aj, jakie piękne lato! Ten ogród, co na nim biały pałac odbija się, taki zielony i od niego bardzo przyjemne zapachy przylatują... Nad pałacem, na takim wysokiem drzewie, taki wielki ptak, z długim dziobem, stoi na takim wielkiem gnieździe i żabami, co je z łąki przyniósł, swoje dzieci karmi... a w tym lesie, co ja na niego patrzę, takim zielonym, drugi ptak kuka... całkiem tak kuka, jak ten zegar... To ja na te obrazy patrzył, śmiał się do nich, jak dziecko, kiedy jemu pokażą cacko, i dziękował Panu Bogu, że mnie dał taką nieżywą rzecz, co mnie na ciemnościach maluje takie światłości...

Umilkł i dość długo siedział z dłońmi założonemi na kolanach i z głową zwieszoną.

Hrabia, z czołem na dłoni, uważny i zasłuchany, milczał także, a obie głowy ich siwe i pochylone, oblewał szmer czasu potakujący, nieu-

stanny: »tak-tak«, »tak-to-tak«, »tak-to-tak«, »tak-to-tak«.

Po chwili ze szmeru tego wyłonił się znowu głos żyda zniżony, prawie szepczący:

— Ja-by jaśnie panu przez cały tydzień opowiadał różne rzeczy o tym zegarze i jeszcze-bym wszystkich nie opowiedział. Ale jedną jeszcze powiem. Niech jasny pan tej jednej rzeczy cierpliwie posłucha.

Opowiedział, że, kiedy jego najmilsza Małka do Ameryki wyjeżdżała, on nie przeprowadzał jej na dworzec kolei, ponieważ czuł, że nie powstrzyma się od płaczu, a nie chciał, aby ludzie litowali się nad jego staremi oczyma, które jeszcze tak płakać muszą. Więc córka i dzieci pożegnały go tu, w tej samej izbie, i poszły sobie, a on, jak nieżywy, siadł na ziemi, w kącie, ot, w tym kącie, i, schwyciwszy się obiedwiema rękoma za głowę, kiwał się i płakał i jęczał do Pana Boga, za co On na niego takie wielkie nieszczęście przysłał. Lecz nagle on sobie pomyślał, że słyhać ten świst, taki długi i ostry, z którym pociągi oddalają się od dworca, i zachciało mu się ogromnie ten świst usłyszeć. »Niech ja jego posłyszę — myślał — niech ja wiem, kiedy moja Małka i jej dzieci już tu przestaną być, kiedy oni dla mnie całkiem przepadną«.... Wiedział, o której godzinie i minucie ten świst rozlega się zazwyczaj, i, siedząc w kącie na ziemi, z głową w rękach, zaczął patrzeć na zegarek, na ten zegarek z ptakiem. Patrzył i myślał: za kwadrans, za dziesięć minut, za pięć, za trzy minuty.... Wtem rozległ się świst długi i taki ostry, że całkiem przeszył mu

serce. Już jego Małka przestała tu być, już ona, choć żyje, dla niego umarła....

— Czy jasny pan uwierzy? Ja pamiętam, że było wtedy dwadzieścia trzy minuty po dziesiątej...

Hrabia wstał zamyślony.

— Mój Berku — rzekł — rozumiem dobrze, dlaczego nie chcesz sprzedać tego zegara. Czytasz ty na nim tak, jak ja na swoim... przeszłość.

Żyd głową potrząsł z zadowoleniem wielkiem.

— Jasny pan prawdę powiedział. Jasny pan na swoim zegarku, tak, jak ja na swoim... czyta przeszłość. Ją każdy ma.

Stali teraz naprzeciw siebie, blizcy już rozstania, lecz ociągający się z pożegnaniem, czując kowala niewidzialnego, który kuł pomiędzy nimi ogniwa niespodziane, a dokoła postaci ich przygarbionych i zwątlonych fala czasu płynęła ze szmerem nieustannym, stukotliwym: »tak-tak«, »tak-to-tak«, »tak-to-tak«.

Hrabia usiadł znowu i nawet rozsiadł się na krześle, jak do gawędy długiej, a ze szmeru, napełniającego izbę, wydobył się głos basowy, bardzo czysty, i wydzwaniać zaczął: raz, dwa, trzy! Za czwartem uderzeniem przybiegł mu z wtórem, jak młodzieniaszek mężowi dojrzałemu, cieniutki głosik wiolinowy i wykrzyczał: raz, dwa! a za trzecim uderzeniem swoim, dostał wtór głosów innych, którym wnet z pomocą przybiegły jeszcze inne, aż cały chór, zgodnie uderzywszy kilka razy, stopił się znowu do trzech i do dwóch głosów, kończących wygłaszać godzinę jedenastą.

Kilka miesięcy upłynęło. Wiosna była wcze-

sna, pogodna, słoneczna. Stary Berek wyszedł z izby, napełnionej wiecznym szmerem zegarów, i przed drzwiami stanął na dwóch wschodach, które łączyły je z chodnikiem. Wnet oblało go światło słoneczne, na którego tle złotem uwypukliła się postać nieduża, wątła, trochę przygarbiona, w odzieniu długim i wyszarzanem, w czapce spłaszczonej z wykrzywionym daszkiem. Pod daszkiem czapki uwypukliła się także w złotym blasku twarz okrągła, zwiedła, z małymi rumieńcami na policzkach pomarszczonych, w okularach, których rogowa oprawa przerzynała czarnemi liniami czoło, skronie i gubiła się za uszema we włosach siwych. Siwa broda połyskiwała na piersi, jak kądziel ze srebrną przedzą.

Stał w świetle i ciepłe słonecznem, rozgrzany, rozweselony, spoglądając przez wielkie szkła okularów na ulicę wąską, pełną światła, ustrojoną u góry w pas błękitnego nieba. Godzina była południowa, ludność miasta ruszała się żwawo; z ulic pobliskich, od tej ludniejszych, dochodził dobrze znany gwar i turkot, w którym ucho Zyda niebawem rozróżniać zaczęło odgłos mniej zwyczajny. Był to śpiew basowy, to wzdymający się, to milkący, to znowu płynący w gwarze gminnym nutą uroczystą.

Berek wsłuchiwał się przez chwilę, poczem głową kiwnął na znak, że zrozumiał znaczenie tego śpiewu. Orszak pogrzebowy przeciągał niedaleko i wciąż się przybliżał. Na wąskiej ulicy zrobił się ruch taki, jaki bywa zazwyczaj, gdy ludność śpieszy do oglądania rzeczy ciekawej. Na chodnikach

zatętniały stopy spieszące, zaszumiał gwar głosów podniesionych.

Berko spokojnie stał na dwu wschodach wznoszących się nad chodnikiem i patrzył w stronę, od której przybliżał się śpiew uroczysty. Przestrzeń paruset kroków dzieliła go od końca ulicy, za którym przeciągały zazwyczaj pochody żałobne.

Ten także ukazał się wkrótce. Z za wysokiej ściany kamienicy wysunęło się naprzód kilka postaci w bieli, czarny krzyż wzniosł się w złotem powietrzu, chorągwie powiały czerwienią i szafirem, pochodnie zapalone błysnęły łańcuchem płomieni żółtych, martwych, smutnych. Śpiew żałobny wzdał się i połączył z turkotem kół powolnym i głuchym. Zaczerniały grube kiry. Wóz pogrzebowy, zaprzężony w sześć koni i otoczony ludźmi, okapturzonymi żałobą, wiózł na szczycie trumnę, ociekającą srebrem.

Potem, znowu, przy zwolna oddalającym się śpiewie, chorągwie, pochodnie i za wozem wspnianym, długi szereg par ludzkich, postępujących powoli, w żałobie grubej, ale strojnej. Ciężkie suknie kobiece, wlokące się po bruku ulicznym, krepy czarne, ściekające od głów aż do ziemi, przepaski czarne na błyszczących kapeluszach męskich, w rękach, ociągniętych czernią, książki z modlitwami, jaśniejące na oprawach kością słoniową i złotem. Takich par szereg długi ciągnął pośród dwu rzędów pochodni zapalonych i dwu sznurów ludności tłumliwej, cisnącej się na chodnikach i brzegach ulicy.

Był to jeden z najwspanialszych i najbogat-

szych pogrzebów, jakie w tem mieście odbywały się kiedykolwiek.

Przez duże szkła okularów i perspektywę wąskiej ulicy, Berek spokojnie patrzył na órszak przeciągający i czasem tylko w zamyśleniu potrząsał głową. Lecz gdy parę wyrazów wypadło z tłumu ulicznego i o słuch jego potrafiło, drgnął, wyprostował się i zaczął zapytywać, sam nie wiedząc, kogo:

— Wos? wos? wer? kto taki? grafi! jaki grafi? co to jest? kto to umarł? czyj to pogrzeb?

Z temi pytaniami, tłoczącemi się na wargi bezkrwiste, znalazł się na chodniku i przechodniowi jakiemuś zagroził drogę.

— No cóż? Nie zatrzymuj mię, Zydzie!

— Czyj to pogrzeb?

— Hrabiego Strumienieckiego pogrzeb! Więc cóż? czego trzymasz mię jeszcze za połę?

— Którego Strumienieckiego? Ojca... ojca... starego hrabiego Ksawerego?...

— Puszczaj, bo mi pilno!

Puścił połę przechodnia, głowę w tył przechylił i, patrząc na błękitny pas nieba, mówił, prawie krzyczał:

— On umarł? pan grafi Ksawery umarł? Jak to może być? Dlaczego on umarł? on był całkiem zdrów, kiedy do mnie przychodził! On kiedyś taki młody był i taki piękny i taki wesóły, a teraz on umarł? Skąd to wzięło się, że on umarł?

Przechodnie, śpieszący dla ujrzenia pogrzebu wspaniałego, potracali go i ze zdziwieniem oglądali się na starca, który, przez wielkie okulary patrząc

w samo niebo, ze sterczącą brodą srebrną, zawołał lament, brzmiały zapytaniami. Zapytywał nie wiedzieć o co i nie wiedzieć kogo. Ktoś, rozmachliwie idący, odtrącił go aż pod ścianę domu: parę żydowskich podrostków, przebiegając, krzyknęło: Sieh! sieh! a mysz ugener! — Ale wszystko to nie trwało długo, bo stary Żyd, porwany jakąś nieprzemogłą siłą, począł biedz, jak tylko mógł, w stronę, w którą pociągnął orszak pogrzebowy. Rękoma zgarniając dokoła nóg odzież długą, biegł z chodnika na chodnik, z ulicy w ulicę, przygarbiony, z żylastą szyją, wyciągniętą naprzód, ze sterczącą kądzielą srebrnej brody. Śpieszył ogromnie. O niczem nie myślał, tylko o dopędzeniu orszaku pogrzebowego; innej chęci nie czuł, tylko tę jedną.

Orszak posuwał się powoli, dopędzić go nie było bardzo trudno. Berek wkrótce wpadł w jego szeregi ostatnie, ale się tem nie zadowolił. Biegł jeszcze, zręcznie prześlizgiwał się wśród tłumu, gdzie ten najgęstszym był, robił nawet pięścią, aż znalazł się obok pań i panów, idących parami za trumną.

Krewni zmarłego blizcy i dalecy, przyjaciele rodziny, znajomi najbliżsi, starzy i młodzi, wysocy i nizcy, piękni i szpetni, lecz wszyscy wytworni, w żałobie grubej, nieco sztywni w pozorach nastroju uroczystego. Ciężkie suknie kobiece, wlokące się po bruku, krepy czarne, spływające od głów aż do ziemi, przepaski czarne na błyszczących kapeluszach męskich, modlitewniki, błyszczące od złota, w rękach, ociągniętych czernią, splecionych nabożnie. Za nimi turkot nieprzejrzanego szeregu

powozów i tupot po bruku szarej masy pospólstwa, trzymanej w oddaleniu.

Na chodnikach, z dwu stron wozu obleczonego kirem i szeregu par ubranych w żałobę, stały się dwa szlaki bruku ulicznego puste i oblane blaskiem słońca. Berko zwolnił kroku i zaczął iść po jednym z tych pasów, równolegle ze sznurem pań i panów. Oni szli równo i uroczyście; on dreptał i czasem potykał się o kamienie. Na tle ich strojów czarnych, jego wyszarzana odzież wyglądała, jak łachman, porzucony w rynsztoku. Na czapce spłaszczonej nie miał krepowej przepaski, a z pod daszka wykrzywionego widać było czarne linie okularów, przerzynające pomarszczoną skórę czoła i skroni. Wyglądał, jak kropla, która wytrysnęła z szarej masy, trzymanej w oddaleniu, i upadła tuż za trumną, ociekającą srebrem, obok kirów ciężkich i wytwornych,

Ale szedł. Może zwracano na niego uwagę i dziwiono się, skąd się wziął i po co idzie, ale on szedł. Na czele orszaku, w powietrzu, promiennem wznosiły się wysoko ciemne linie krzyża i brzmiał uroczyście śpiew kościelny; on jednak szedł. — Wkrótce zaczął sam myśleć:

— Nu, skąd ja tu wziął się? czego ja leciał, jak szalony? czego ja idę?

Ale szedł. Dopóki biegł i przebijał się przez tłumy, nie myślał o niczem, party uczuciem, które było siłą instynktową, niejasną, lecz niezmożoną. Teraz począł dziwić się samemu sobie i temu, za którego trumną dreptał obok krewnych i przyjaciół najbliższych, potykając się o kamienie.

— Nu, czego on wtedy siedział u mnie kilka godzin, prawie całą noc? Czego on ze mną rozmawiał, jak z bratem? Czego ja za tym wozem leciał, jak dowiedział się, że to on na nim jedzie? czego ja za nim teraz idę?

Tak myślał, dziwił się coraz więcej jemu i sobie, ale szedł.

Za miastem stało się przestronno, promiennie, czysto, świeżo. Pola z zieloną runią rozłożyły się ze stron obu, młode brzozy zasrebrzyły się kosą białą i zaszemrały kaskadami listków młodych, wiatry lekkie latały w złotem powietrzu, roznosząc wonie ziół, dobywających się z ziemi, rzeka błysnęła w pobliżu błękitem tak gorącym, że zza wzgórzy falistych wydawała się spadłym kawałkiem nieba.

Berek od bardzo dawna już nie opuszczał miasta, a teraz, gdy tylko je opuścił, powiało nań Strumienicą. Wiatr, brzozy, promienie, rozsiane w powietrzu, szeptały mu w oba uszy: Strumienica! Strumienica! Stoi przy płocie dziedzińca, patrzy na takie same brzozy, na taki sam kawałek wody błękitnej i słucha, jak ptak w lesie kuka....

Oczy wlepił w trumnę ociekającą srebrem.

— To był początek twój i mój....

Przez bramę, na oścież otwartą, orszak wszedł na cmentarz i wśród mogił, usianych fijołkami, rozsypał się po lesie grobowców i krzyży. Wtedy Berek, uderzony wielkiem strwożeniem, przystanął, a gdy fala ludzka przepłynęła, pozostął samotnym. Cmentarz był pełen drzew; stary Żyd wsunął się pomiędzy brzozy i z głową zwieszoną, z palcami

rozpostartemi u rąk obwisłych, błądził przez chwilę pod gałęzmi płaczącemi, myśląc, nawet mruczając półgłosem:

— Nu, czego ja tu przyszedł? skąd ja tu wziął się? czego ja tu wlażł?

Ale nie odchodził i czuł, że pomiędzy nim a trumną, spuszczaną do ziemi, kował niewidzialny kuł ogniwa niespodziane.

U przeciwnego końca cmentarza stała pstra masa ludzi, wzbijały się śpiewy uroczyste, promieniał krzyż na grobowcu wysokim. Żyd ze spuszczoną głową dreptał pośród brzóz i rozmawiał z samym sobą.... Brama cmentarna była ciągle otwarta na oścież, ale on nie odchodził; nawet usiadł pod brzożami....

Pod brzożami, płaczącemi ulewą drobnych liści, wśród pni białych nad mogiłą, nakrapianą fijołkami, szarzała postać starego żyda, przysiadła do ziemi, w czapce spłaszczonej, w wielkich okularach z rogową oprawą, ze srebrną kądzielą na piersi.

Cmentarz staczał się po wysokiem wzgórzu nad rzekę, za którą leżały pola zielone i piaski żółte.

Żyd wyciągnął szyję i patrzył na piaski.

— Co to jest? - zamruczał — co to ma znaczyć, czy to on? ja nie wiedział, że jego stąd można widzieć!

Na żółtych piaskach majaczyło miejsce jedno, obwiedzione murem niskim i napełnione kamieniami sterczącymi. Nie było tam, jak tutaj, ani drzew, ani grobowców; nic, tylko mnóstwo kamieni

sterczących, w blasku słońca czerwonych i do
koła żółte piaski. Cmentarz żydowski.

Berek oparł łokieć na kolanie, twarz na dłoni
i kiwał się powoli, to w tył, to naprzód, w takt
kowadła, które pomiędzy nim a trumną, zasypy-
waną piaskiem, kuło ogniwa niewidzialne. Z cicha
mówił:

— Tu jest koniec twój i mój!

Przestał mrużyć, ale siedział jeszcze pod
brzozami, szary w zieloności otaczającej, wśród
świergotu ptactwa, nad mogiłą, nakrapianą fijoł-
kami.

A dwa cmentarze, jeden cały w drzewach
i krzyżach, drugi ze sterczącymi kamieniami na
piaskach żółtych, jedno wspólne niebo skuwało
ogniwem wysokiem i szerokiem.

